

Karta wielkich nadziei

Czas, kiedy lipiec był szczytowym okresem „ogórków” — przeszły do legend. To prawda, że zamyka swe podwoje ten czy ów teatr, zamiera praca w niektórych fabrykach, a program telewizji nosi sporo cech wakacyjnego zatykania dziur. Ale ogólne tętno życia społeczno-gospodarczego nie leniowieje, nie słabnie.

W skali naszego globu zjawisko to widać tym wyraźniej. Upalne lata, kiedy wysychał rezerwuuar ważkich wydarzeń i trzeba było sięgać po przysłowiowego węża z Loch-Ness lub yeti — niemal się nie zdarzają. Tegoroczny lipiec znów niesie z sobą wydarzenia doniosłej wagi. Na pierwszy plan wysuwa się naturalnie równoczesne paraflowanie w Londynie, Moskwie i Waszyngtonie układu o nierozprzestrzenianiu broni atomowej.

Tempo naszej codzienności i nawał osobistych kłopotów czasowo-urlopowych jakoś nie bardzo sprzyjają wnikliwej ocenie wspomnianego aktu przez obywateli. A przecież jego międzynarodowe znaczenie jest doniosłe nie dlatego, że układ wiele wazy dla stosunków międzypaństwowych, układ najwięcej znaczy dla narodów, dla społeczeństw, dla szarych ludzi pod każdą niemal szerokością geograficzną.

Wiąże się z tym gwarancja atomowych potęg dla państw wyrzekających się tej broni. Nic przeto dziwnego, że już w pierwszych dniach, kilkudziesięciu męzów stanu z rozmaitych stron świata (w tym — przedstawiciel Polski) paraflowało omawiany układ.

Nie przeceniając wagi tego aktu, zdając sobie w pełni sprawę z jego niedoskonałości i absencji wśród podpisujących chociażby Chin i Francji oraz obstrukcji uprawianej przez NRF — wolno stwierdzić, że dokonano istotnego, znanie go posunięcia na drodze ograniczania i hamowania wyścigu zbrojeń. Dokonano owego kroku — godzi się i to przypomnieć — niemal dokładnie w pięć lat od zawarcia układu o charakterze wstępnym: mianowicie 5 sierpnia 1963 r. wielkie mocarstwa — a do nich przylączyły się dziesiątki innych państw — paraflowały układ o ograniczeniu dokonywania doświadczeń jądrowych.

Jak widać potrzeba było żmudnych, trwających lata — rozmów, konsultacji dyplomatycznych, sondażi i uzgodnień, by sformułować projekt układu, akceptowany przez atomowe mocarstwa. Optymizmem wszakże napawać musi to, że — primo — owe długotrwałe rokowania uwieńczone zostały powodzeniem; secundo — iż układ o nonproliferaacji dochodzi do skutku w momencie, gdy chmury na międzynarodowym momencie zdają się być szczególnie gęste.

A przecież w ostatnich latach mamy do odnotowania jedno jeszcze posunięcie z tej kategorii spraw: zawarcie układu, którego mocą uznano Amerykę Południową za strefę bezatomową. Godne odnotowania są i inne decyzje, stosunkowo świeżej daty, pomocne dla sprawy międzynarodowego odprężenia. Mam na myśli zawarcie radziecko-amerykańskiej konwencji konsularnej oraz radziecko-amerykańskie uzgodnienie podjęcia z dniem 15 lipca regularnych rejsów lotniczych na trasie Nowy Jork — Moskwa.

Sensacją ostatnich dni, swoistą „bombą pokojową”, wyrażającą się stylem zachodnich komentatorów —

stało się wszakże nowe radzieckie memorandum rozbrojeniowe. Poprzedziło je przemówienie ministra Gromyki na sesji Rady Najwyższej ZSRR, będące ripostą na demagogię areopagu NATO. Memorandum, ogłoszone zaledwie w 4 dni po zakończeniu tej sesji, stanowi kolejne potwierdzenie prawdziwie pokojowego kursu politycznego obecnego radzieckiego kierownictwa. I, co niemniej istotne, nowe propozycje Moskwy — pisała o tym m. in. francuska agencja AFP — uznane zostały za szczerą, wywierając „dzięki sposobowi ujęcia tematu” duże wrażenie w kołach politycznych USA.

Radzieckie propozycje zyskały szybko miano „karty globalnego rozbrojenia atomowego” i w samej rzeczy noszą taki charakter. Dziesięciopunktowe memorandum zawiera jakby dwie grupy problemów: do szybkiego rozstrzygnięcia oraz do wprowadzenia w życie w okresie późniejszym. Pierwszych pięć punktów najwyżej można przedstawić następująco:

- zakaz lotów bombowców z bronią jądrową — poza granicami własnymi;
- zaprzestanie rejsów okrętów podwodnych, wyposażonych w broń jądrową, poza granice stref, skąd rakiety uzyskują możliwości rażenia terytorium uczestników układu;
- ostateczne zaniechanie także podziemnych doświadczeń jądrowych;
- stworzenie stref bezatomowych i likwidacja baz jądrowych na obcym terytorium;
- zdeklarowanie wykorzystywania dna mórz poza granicami wód terytorialnych — wyłącznie dla celów pokojowych.

Drugi pakiet radzieckich propozycji, o znaczeniu bardziej długofalowym, dotyczy przerwania produkcji broni jądrowej, ograniczenia jej zasobów, wreszcie całkowitego zakazu jej posiadania i dokonania jej likwidacji.

Nie ma przeto dozy przesady w określeniu memorandum radzieckie mianem „karty rozbrojenia atomowego”. Znaczenia tych propozycji nie sposób nie doceniać. Z kół Departamentu Obrony USA doniesiono niemal bezwzględnie, że powołuje się już grupy robotnicze, mające przygotować materiały do przyszłych rozmów radziecko-amerykańskich w sprawie ograniczenia zbrojeń nuklearnych. Termin i miejsce tych rozmów mają być uzgodnione kanałami dyplomatycznymi.

Polska nie jest mocarstwem atomowym, należy do grupy średnich państw, a przecież sprawy, o których mowa, interesują nas w sposób szczególny. Nie tylko dlatego, że zawsze, konsekwentnie, opowiadamy się za polityką pokoju i współistnienia; że mamy na swym koncie liczne, głośne w świecie, inicjatywy odprężeniowe, że przypominamy choćby plany Rapackiego i Gomulki, proponujące dezatomizację Europy środkowej, lub przynajmniej zamrożenie atomowego statusu quo na tym obszarze. Jesteśmy zawsze za pokojowymi inicjatywami dlatego, że szczególnie dotkliwie poznaliśmy skutki wojny.

Najnowsze wydarzenia ze strefy wielkiej polityki atomowej napawają umiarkowanym optymizmem. Wydaje się, że podejmowane są przez polityków wielkie poszukiwania. A to jest niezwykle doniosłe. Także, a może zwłaszcza wtedy, gdy pomimo wszystko groźba konfliktu ze strony sił imperializmu nadal istnieje, a potrzeba wzmożonej czujności nie ustaje.

Głos tygodnia

DODATEK GŁOSU WIELKOPOLSKIEGO

Nr 349

7 VII 1968

Rok VII

Marian Flejsierowicz

15000 kilometrów po Związku Radzieckim

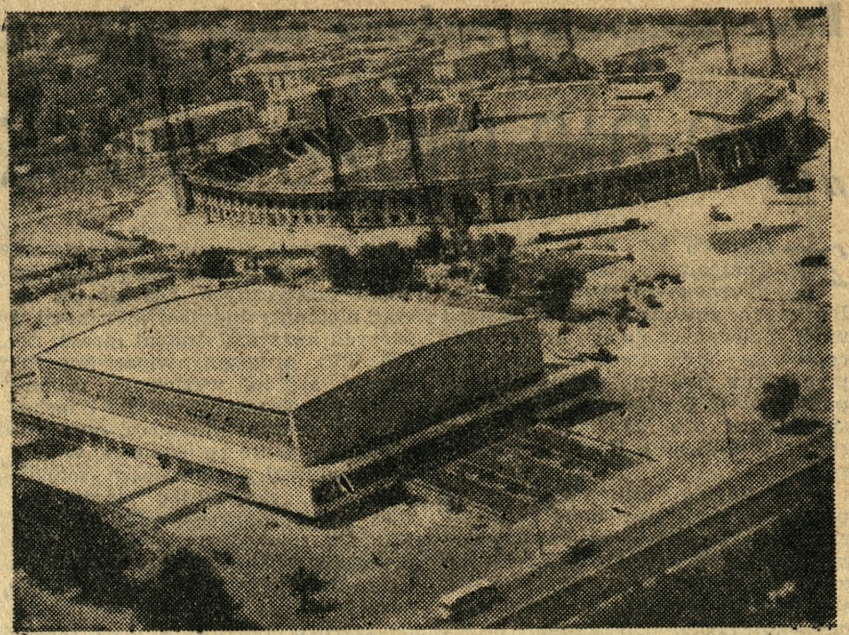
Alma Ata-ojciec jabłek

Alma-Ata to miasto ogrodów, parków, skwerów i alei, miasto na każdym kroku widocznej zieleni. Na przedmieściach i w okolicy pełno sadów. Rosną w nich grusze, śliwy, czereśnie, morele. Nad wszystkim jednak jabłonie, wśród których największą sławą cieszy się gatunek zwany „aport”. Tajemnicę tej odmiany której owoce ważą często po 500-600 gramów, poznałem podczas wizyty w Kazachskim Instytucie Naukowym Badań Upraw Owoców i Winogron. Otóż okazuje się, że te wielkie jabłka o pięknym kolorze, bardzo ostrym, intensywnym zapachu i smaku rosną w sadach położonych na stokach gór znajdujących się na wysokości 1000—1400 metrów nad poziomem morza. Tylko tam, na nienawodnionych terenach jabłonie w pełni — jak mi powiedziano — „czerpią energię słońca i sok z ziemi”. W innych warunkach „aporty” uprawia się również, ale drzewa wydają mniejsze owoce bez tego jednego w swoim rodzaju koloru i smaku. Nawiasem mówiąc, właśnie w tym Instytucie opracowano oparte na naukowych podstawach zalecenia do wykorzystania pod uprawę tego gatunku jabłek 30 000 ha gruntów na nasłonecznionych stokach okolicznych gór.

Alma-Ata, stolica Kazachskiej Socjalistycznej Republiki Radzieckiej (druga po Rosyjskiej co do wielkości republika ZSRR zajmująca obszar 2 756 000 km kw.) jest miastem, które zachwycać musi, jeśli nie wręcz oczarować, każdego przybysza. Nie jabiaka, mimo że Alma-Ata znaczy po kazachsku „ojciec jabłek”, w czym nie ma żadnej przesady.

Miasto liczące niemal 700 000 mieszkańców leży na wysokości 700—900 m n.p.m. prawie u stóp potężnych dochodzących do 5 000 m gór Zailijski Ałatau, które wchodzi w skład pasma Tien-szan. Ała Tau znaczy tyle co kolorowa góra. Istotnie, kiedy się patrzy o zachodzie słońca na pokryte wiecznym śniegiem szczyty, mienia się one wszystkimi kolorami tęczy. Wywiera to niezapomniane wrażenie.

Dopiero jednak połączenie niezwykłej scenarii gór, widocznych z każdej niemal ulicy z wygięciem samego miasta, daje w sumie niepowtarzalność piękna Alma-Aty. Miasto jest właściwie olbrzymim parkiem. Nie ma w nim budynków przylegających do siebie. Szerokie ulice są proste jak strzelił. Mimo tej wyso-



„Niedaleko stadion i nowoczesna sylwetka pałacu sportowego ze sztucznym lodowiskiem”... Fot. „Głos”

kości, teren jest niemal równy. Szerokie asfaltowe jezdnie biegną niby w wąwozach utworzonych przez korony wysokich topoli, platanów, klonów. Wzdłuż głównych alei, biegnących prostopadle do łańcucha górskiego, zamiast rynsztoków — aryki, czyli szerokie na 30—40 cm kanały, w których płynie krystalicznie czysta i chłodna woda z rzek Duża i Mała Almaatynka.

Luźna zabudowa, liczne parki, pełno kwiatów, fontann, zazielenionych placów, z których główny nazywa się placem kwiatów, setki nowych domów mieszkalnych, przeważnie 4 — 5 piętrowych z tynkami o ludowych motywach kazachskich — wszystko to budzi musi uznanie dla urbanistyki — i architektury. Ich ład i estetyka graniczą tu niemal z idealnością. Żadną główną ulicą nie jedzie tramwaj. Pozostawiono tylko 8 linii tramwajowych. Poza tym jest 11 trólebusowych. Ciężar komunikacji miejskiej spoczywa na 109 trasach autobusowych.

Prospekt Lenina prowadzi z centrum w kierunku gór. W miarę oddalania się od śródmieścia, widać coraz więcej małych domków, które się burzy, aby zyskać miejsce pod bloki mieszkalne wyposażone w loggie, daszki chroniące przed promieniami słońca, balkony i galerie. Przy Prospekcie Abaja, którego środkiem biegnie szeroki skwer, też buduje się wiele domów. Wszystko z prefabrykatów wyłożonych z gotowy mi już tynkami przeważnie składającymi się z kamyków wielkości orzecha laskowego. Przy każdym placu budowy dźwigi. Niedaleko — stadion i nowoczesna sylwetka pałacu sportowego ze sztucznym lodowiskiem. Wszystko tu nowe: kina, teatry, hotele, pałac pionierów, dworzec autobusowy... Architektura i zieleń tworzą harmonijną całość. Nawet fabryki zlokalizowane są niemal w parkach. Na przykład dopiero co zbudowany kombinat bawełniany już otoczony jest młodymi drzewkami i krzewami oraz klombami kwiatów.

Alma Ata liczy niewiele ponad 100 lat, a już ma za sobą 2 wielkie trzęsienia (1887 i 1910) ziemi. Miasto leży na terenach sejsmicznie aktywnych. Kiedy więc zaczęto budować tam w okolicy słynnego wysokogórskiego lodowiska „Medeo”, postawiono tam w stanie surowym trzy 5 piętrowe domy: ceglany, z prefabrykatów i na konstrukcji żel-

betowej. Przy wysadzaniu skał w związku z budową tamy uzyskano sztuczne trzęsienie ziemi: zebrano doświadczenia, jakie konstrukcje w miejscowych warunkach są najbardziej odporne.

Kiedy jechałem dość wąską asfaltową szosą wijącą się wzdłuż rwącego potoku z Alma Ata w górę do lodowiska „Medeo”, miałem po drodze liczne domy wypoczynkowe, sanatoria oraz setki małych, skromnych, przypominających nieraz altanik tyle że z drzwiami i normalnymi oknami, domków letniskowych. Ludzi ogarnął tutaj szal budowania tych domków. Na stokach gór miejsca nie brak. Grunt funduje zakład pracy. Każdy chce mieć swoją „dacz”, gdzie od wiosny do jesieni spędza wszystkie wolne chwile. Każdy buduje sam, systemem gospodarczym. Cegła, kamień, drewno, co kto ma, służą za budulec. Im bliżej miasta tym więcej „dacz”. Niektóre stoki wyglądają z daleka jak malownicze wsie. Przy każdej „dacz” trochę drzewek owocowych, winorośli, kwiatów. W rozmieszczeniu i „architekturze” tych letniskowych domków sporo jest żywiołu, którego skutkiem być może potem, kiedy już zabraknie miejsca, trzeba będzie naprawić. To pozytywne hobby przybrało szczególne rozmiary od czasów wprowadzenia 5-dniowego tygodnia pracy. Myślę, że ta moda nie przeminie, tak jak u nas nie przeminiła moda domków czy osiedli campingowych.

Niedaleko miasta drogę zagrażdza nagle wysoka potężna stalowa konstrukcja. Coś jakby gigantyczne zapory przeciwczołgowe lub konstrukcja mostu z górnym wiaduktem. To jest zaporą przeciwko... kamiennym lawinom, które kiedyś spadały wyrządzając niemałe szkody. Teraz lawiny zatrzymują się na zaporze. Jest w niej tylko wąski przesmyk na szerokość jednego samochodu. Kilka minut jazdy dzieli nas od centrum Alma Aty. To piękne miasto ma jednak jeden poważny mankament: brak kąpieliska z prawdziwego zdarzenia, co w gorącym klimacie, jest szczególnie dotkliwie. Ale i o tym się myślę. Woda w Almaatynie przeciwieństwo. Miejsca, gdzie można utworzyć sztuczny zbiornik też są. „Trzeba budować” — słyszałem często na ten temat opinie. Jestem przekonany, że za kilka lat Alma Ata otrzyma nareszcie piękne kąpiele.

Olgiard Błażewicz

Jaki mamy teatr w Poznaniu

Jak można ocenić bieżący, dobiegający już do końca sezon teatralny na scenach Poznania? Wydaje się, że nie sposób zaliczyć go do szczególnie udanych pod względem artystycznym i „upowszechnieniowym”. Taki punkt widzenia na tę sprawę reprezentowała zresztą także sama dyrekcja na niedawnej konferencji repertuarowej, podobnie widzieli ten problem pozostali uczestnicy dyskusji. Po tegorocznym sezonie — powiedzmy to sobie szczerze, — nie mogliśmy zresztą spodziewać się nadzwyczajnych sukcesów ideowo-artystycznych. Każdorazowa zmiana dyirekcji powoduje, niestety, załamanie się określonej linii rozwojowej sceny, pierwszy rok nowej dyirekcji rzadko kiedy bywa najlepszy w całej kadencji, na to potrzeba czasu: pełnej orientacji w możliwościach aktorów zespołu, a przede wszystkim gruntownego poznania zainteresowań i potrzeb konkretnej widowni.

Pamiętajmy przy tym, że sezon 1967/68, co sygnalizowałem już bezpośrednio po festiwalu kaliskim, w ogóle nie był najszybszym w naszych teatrach. Większość scen w całym niemal kraju znajduje się od-

paru lat w sytuacji pewnego obniżenia lotów, a może nawet i kryzysu (choć za to chyba za mocne słowo) spowodowanego z jednej strony zubożeniem widowni, z drugiej nieumiejętnością uporządkowania so bie wszystkich spraw artystycznych, organizacyjnych, finansowych i ideowych w obliczu malejącego zainteresowania publiczności. Jedną z przyczyn tych trudności trzeba by chyba jednak upatrywać w sprawach poza artystycznych, w zawężonym kręgu oddziaływania społecznego m. in. także w składowej socjalnej widowni. Na teatrze naszym nadal ciąży model sceny inteligencko-mieszczańskiej, grawitujący w stronę najłatwiejszej do zdobycia publiczności uczniowskiej, studenckiej i inteligentkiej, która zawsze najbliższą stała teatru. A teatr w znacznym stopniu kształtowany jest przecież właś-

nie przez jego widownię. Jeśli tylko parę procent widzów stanowią np. robotnicy, a ponad czterdzieści uczniowie jak to jest u nas w Teatrze Nowym (patrz ankiety teatralne w nr. 3 „Zeszytów Wielkopolskich” z 1965 r.), trudno dziwić się, że teatr

Obrachunki z sezonem

ten stoi klasyką. Ale skoro w repertuarze swym teatr ten od lat nie ma sztuk adresowanych wyraźnie do robotników, trudno też właściwie dziwić się ich absencji na widowni. I tu błędne koło się zamyka. Na pewno ze stratą tak dla widza robotniczego, jak i samego teatru.

Zatrzymałem się przy sprawach widowni, chociaż właściwie jest to temat do odrębnego artykułu, ale przecież właśnie widownia rzutuje obecnie w poważnym stopniu na pracę i wyniki teatru. Nie od rzeczy będzie jednak przypomnieć, że pracę teatru utrudniają jeszcze inne okoliczności: trudności w pozyskiwaniu mieszkań dla aktorów, zły stan wyposażenia technicznego obu scen, ograniczenia funduszu plac, ograniczenia dewizowe. Ale przede wszystkim — właśnie niepowodzenia w współpracy z wielkimi zakładami pracy. Sprawy te przypominam tu jednak nie po to, aby szukać usprawiedliwienia dla teatru, lecz po to, by podkreślić, że znane są nam, dziennikarzom, tzw. „obiektywne trudności” teatrów. Trudności zresztą nie wające wiele na szali, jeśli weźmiemy pod uwagę jak wielką po-

moc finansową świadczy państwo nieustannie u nas właśnie na rzecz teatrów.

Sezon tegoroczny nie pozwala w gruncie rzeczy na zdecydowanie krytyczną ocenę poznańskiego teatru. Właściwie dopiero w końcówce sezonu zaczęły się poważniejsze kłopoty artystyczne, frekwencyjne i repertuarowe. Dopiero zakończenie roku szkolnego, wyjazd z miasta studentów, zgodnie z tym co wcześniej powiedziałem, spowodował pustki na widowni. Na afiszu znalazły się w tej sytuacji pozycje ponadplanowe; typowo rozrywkowe, zaczęło się latanie dziur repertuarowych i budżetowych. Warto jednak przy tej okazji zwrócić uwagę na jeden dość znamienity fakt: właśnie te pozycje rozrywkowe spotkały się ze stosunkowo małą frekwencją i niewielkim uznaniem społecznym. Widzowie poznańscy wybierali raczej pozycje o większej wadze artystycznej, sztuki znanych powszechnie autorów gwarantujących w ich przekonaniu dobry poziom artystyczny spektaklu. Publiczności teatralnej Poznania nie

Dokończenie na str. 2

„...to nie może być składanka...”

27 czerwca br. Rada Naukowa Centralnego Ośrodka Metodycznego Studium Nauk Politycznych, złożona z przedstawicieli nauk społecznych całego kraju zaakceptowała dwa nowe programy przedmiotu zwanego podstawy nauk politycznych. O bliższe szczegóły prosimy prof. dra Mariana Żychowskiego, kierownika Centralnego Ośrodka:

— W ciągu ostatnich czterech lat przedmiot podstawy nauk politycznych w wymiarze 60 godzin obowiązywał w 34 uczelniach wyższych różnych typów, obejmując około 10 tys. studentów. Z nowym rokiem akademickim będzie uruchomiony na kilku dalszych, głównie technicznych.

Opierając się na doświadczeniach Studiów Nauk Politycznych funkcje nuczających w poszczególnych uczelniach, na ocenie frekwencji studentów i wynikach egzaminów można stwierdzić, że przedmiot ten w świadomości młodzieży stał się faktycznie zespołem dyscyplin, który daje kompleksową, konkretną wiedzę o współczesności, a zarazem spełnia coraz bardziej funkcję ideowo-wychowawczą.

— Czyli studenci sami traktują przedmiot bardzo poważnie...

— Potwierdziło się to w dobie wydarzeń marcowych — zajęcia z zakresu podstaw nauk politycznych w całym kraju odbywały się bez zakłóceń, przy olbrzymiej frekwencji i dawały możliwości otwartej, nieskrępowanej dyskusji politycznej na aktualne tematy.

— Może pan profesor zechce poinformować czytelników o założeniach przysiewających zmianom programowym.

— Przedmiot podstawy nauk politycznych winien być stale doskonalony. Rada Naukowa Centralnego Ośrodka podjęła więc próbę opracowania nowej koncepcji programowej. Przedstawiciele wszystkich ośrodków krajowych doszli do przekonania, iż należy stworzyć dwie wersje programu: jedną dla kierunków studiów humanistycznych i społecznych, drugą dla kierunków technicznych i matematyczno - przyrodniczych.

— Czym będą się różniły?

— Dla obu zespołów kierunków obowiązują wspólny trzon wiedzy, z tym, że różnie rozłożą się akcenty: m. in. w programie dla kierunków technicznych i matematyczno-przyrodniczych mocniej akcentuje się problemy związane z rolą techniki we współczesnym świecie, oraz zagadnienia ideologiczne, problematykę polityki państwa ludowego wobec spraw społecznych, zatrudnienia, kultury i nauki, zakładając iż ładunek wiedzy z tych dziedzin uwzględnił jest w większym zakresie na kierunkach typu humanistycznego.

— Może jeszcze parę słów o nowych założeniach metodycznych?

— Skonstatowano, że program PNP winien być skorelowany z innymi przedmiotami studiów, przede wszystkim z socjologią, ekonomią polityczną, filozofią marksistowską i historią najnowsza. Program nie może natomiast powtarzać materiału „wychowania obywatelskiego” szkoły średniej, który oczywiście nadal

obowiązuje i powinien być egzekwowany przez realizatorów Studiów Nauk Politycznych. Dlatego też łącząc elementy bieżącej informacji, z których korzysta student (prasa, radio, TV), programy winny koncentrować się na węzłowych problemach współczesnego świata i zachodzących w nim przemian, uwzględniając wszystko co dzieje się w Polsce Ludowej i państwach socjalistycznych, eksponując kierowniczą rolę partii marksistowsko-leninowskich, a równocześnie dając obraz procesów zachodzących w państwach kapitalistycznych i krajach trzeciego świata. Będzie tu miejsce na ukazanie szeregu kontrowersyjnych zagadnień.

Chciałbym podkreślić, że program nie może być składanką różnych przedmiotów objętych nazwą „podstawy nauk politycznych”. Powinien stanowić integralną całość, w której ramach poszczególne tematy traktowane będą w sposób kompleksowy. Nowe projekty programów są próbą ujęcia marksistowskiej nauki o polityce jako samodzielnej dyscypliny.

— Czy Rada Naukowa Centralnego Ośrodka omawiała również środki realizacji tych zamierzeń?

— Realizacja wymaga dwukierunkowego wysiłku: przygotowania w możliwie krótkim czasie skryptów i

innych pomocy naukowych, oraz przyspieszenia kształcenia kadry naukowej o wysokim poziomie fachowym, ideologicznym i metodologicznym. Centralny Ośrodek na zlecenie Ministerstwa Oświaty i Szkolnictwa Wyższego zawarł już odpowiednie umowy z Państwowym Wydawnictwem Naukowym i „Książką i Wiedzą” odnośnie koniecznych publikacji. Przygotowano również projekt seminariów naukowych dla wykładowców PNP, którzy, poczynając od jesieni systematycznie będą się zbierać i dyskutować merytoryczne problemy.

Decydującą rolę w realizacji przedmiotu musi odegrać kadra danej uczelni wyższej skupiona w ramach Studiów Nauk Politycznych oraz powstałych w Warszawie i Poznaniu Instytutach Nauk Politycznych. Tu chciałbym zaznaczyć, że oba projekty programów zostały przygotowane przez pracowników naukowych tychże Instytutów.

— Kiedy należy się spodziewać wejścia w życie tych programów?

— Po ostatecznej akceptacji Ministerstwa Oświaty i Szkolnictwa Wyższego — z nowym rokiem akademickim.

Rozmawiała: IRENA SOLIŃSKA

Jaki mamy teatr w Poznaniu

Dokończenie ze str. 1

sposób więc odmówić dobrego smaku i trafnego wyboru. Zdać się to wskazywać na to, że teatr wbrew pozorom ma w Poznaniu grono stałe i wybrednych bywalców. Cały problem jest raczej tylko w tym, że grono to nie jest dość liczne, aby zapełnić całkowicie widownię. A że nie spotykają się z jego uznaniem pozycje artystyczne słabsze, to już oczywiście może być zmartwieniem tylko dla samego teatru.

Sezon rozpoczął się w Poznaniu pomyślnie: kilka przedstawień, zwłaszcza w jego pierwszej fazie, dobrze zanotowali w pamięci widzowie i to nawet ci stawiający szenie poznańskiej wysokie wymagania. Listę dobrych i ambitnych spektakli otworzyła, jak pamiętamy, efektowna i ciekawa inscenizacja zapomnianego dramatu Micińskiego „W mrokach złotego pałacu” w reżyserii Marka Okopińskiego. W rzędzie udanych po zyci artystycznych niesposób nie widzieć dwóch następnych kolejnych premier: „Bereniki” Racine’a i „Najazdu” Leonowa (oba w reżyserii Jerzego Zegalskiego). Spektakl Leonowa bardzo się co prawda nie podobał w Warszawie, broniłby go jednak zdecydowanie nadal, jeśli już nie samej sztuki, to tego spektaklu. Na pozytywną ocenę zasłużył też w przekroju całego sezonu przedstawienie „Szalonej Julki” w inscenizacji Izabelli Cywińskiej-Adamskiej. Niezły poziom artystyczny reprezentowały także niektóre pozycje rozrywkowe np. molierowski „Świętoszek”,

a przede wszystkim „Zielony Gil” (reż. Jowita Pieńkiewicz). Niestety były także pozycje słabe np. „Dwaj panowie z Werony”, „Drugi strzał”, albo co gorzej, przeciętne i nijakie, choć teatr mierzył się w nich z wielką literaturą: Wyspiańskiego („Achilleis”), Słowackiego („Mazepa”) czy Brechta („Kariera Artura Ui”).

Czy przyszły sezon zapowiada się lepiej? Sądze, że można być optymistą. Wydaje się, że optymizmem napawać może nadal zespół aktorski teatru poznańskiego, składający się w dużej mierze z dobrych, wartościowych i znających swój fach aktorów. Do optymizmu skłaniać może też sam plan repertuarowy przyszłego sezonu, pomyślany dość wszechstronnie, chociaż głównie z troską o dotychczasowego widza inteligentno-młodzieżowego. Jeśli wolno mi zdradzić niedopięte jeszcze do końca plany przyszłego sezonu, to warto tu wypunktować w nim ważne premie polskie: „Kłątwe” Wyspiańskiego, „Przedwiośnie” Żeromskiego, „Śmierć gubernatora” Kruczkowskiego. Ma być też grany Mrozek („Indyk”) i Fredro („Gwałtu co się dzieje”). Z obcych autorów w grę wchodzi m. in. sztuka pisarza staroangielskiego Johna Forda („Szkoda, że jest nierządnicą”) i „Ożenek” Gogola. Teatr planuje też jakąś pozycję zachodnią, może którąś z nowych sztuk Adamowa lub Millera.

Wracając jednak raz jeszcze do tych źródeł optymizmu co do przyszłego sezonu, — widziałbym je także w osobie samego dyrektora teatru. Dyrektora, który budzi zaufanie, który wieloma teatrami w życiu już kierował i żadnego z nich na moment nie sprowadził.

OLGIERD BŁĄŻEWICZ

Wielkopolski Park Narodowy



Andrzej Kandziora — Jezioro Budzyńskie (linoryt barwny)

Jan Krotowicz

WIDMO GŁODU ENERGETYCZNEGO

Co pewien czas pojawiają się sygnały o szybkim kurczeniu się zasobów paliw, pochodzenia organicznego, stanowiących podstawę współczesnej energetyki. Rozwój energetyki jądrowej, mimo że jest bardzo dynamiczny, jeszcze przez długie lata nie będzie stanowił konkurencji dla elektrowni klasycznych. Do opanowania energii termojądrowej i zbudowania reaktorów, w których energia syntezy jąder będzie przekształcona w energię elektryczną, jest jeszcze daleko.

Jednocześnie obserwujemy gwałtowny wzrost zapotrzebowania na energię. Kraje uprzemysłowione zużywają już obecnie ogromne ilości energii, a z każdym rokiem zużycie to się powiększa. Szybki rozwój krajów słabo rozwiniętych gospodarczo, powoduje nowy skok w ilości zużywanej energii. Tymczasem zasoby paliw organicznych — takich, jak: węgiel kamienny i brunatny, ropa naftowa i gaz ziemny, nie są nieograniczone.

Spalanie tych produktów, mimo że jest koniecznością, stanowi marnotrawstwo cennych surowców. Przemysł chemiczny może przerobić te produkty w sposób znacznie efektywniejszy. Już na początku bieżącego stulecia wielki chemik rosyjski, Mendelejew, porównał spalanie węgla i ropy naftowej do palenia w piecu banknotów. Coraz częściej uczni na woli do ostrożnego gospodarowania cennymi zasobami czarnego złota.

Ale rozwój świata musi iść naprzód. Zużycie tych surowców rośnie. Czy wobec tego, może nam grozić głód energetyczny? A jeśli nie nam — to przyszłym pokoleniom?

Obawy takie są raczej nieuzasadnione. Słońce, które od miliardów lat ogrzewa naszą planetę, może być wykorzystane do bezpośredniej produkcji energii elektrycznej. Słońce jest potężnym reaktorem termojądrowym, emitującym w przestrzeń kosmiczną ogromne ilości energii. Część tej energii, w postaci energii promienistej, bardzo wygodnej do wykorzystania — otrzymuje Ziemia.

Wystarczy tylko te ogromne ilości energii „uchwycić” i przekształcić w inną postać, na przykład w energię elektryczną, aby zapewnić światu nieskończone obfite źródło energii. W wielu laboratoriach na świecie prowadzone są intensywne prace nad zbudowaniem przetworników energii słonecznej.

Baterie, zasilane energią słoneczną, pracują już na sztucznych „satelitach Ziemi itp. Dają one jednak bardzo małe ilości energii. Od tego rodzaju baterii słonecznych jeszcze daleko do energetyki.

W Instytucie Półprzewodników Akademii Nauk ZSRR zbudowano przed kilku laty, pod kierunkiem prof. Joffe, pierwsze elektrownie, zasilane bezpośrednio energią słoneczną. Panele robocze tych elektrowni zbudowane są z wysokiej czystości krzemu półprzewodnikowego. Mogą one pracować dziesiątki lat bez wymiany.

Poza dachami miejskimi, pozostają do wykorzystania ogromne tereny pustynne, zbocza gór, morza i oceany. Powierzchnia 100.000 km², pokryta bateriami słonecznymi, nawet przy obecnym stanie techniki półprzewodnikowej, może dać ilości energii, przekraczające kilkakrotnie moc wszystkich elektrowni, pracujących na świecie.

Można zapytać, czy w przypadku rozwoju energetyki słonecznej, „helioenergetyki” i przy dużym zużyciu krzemu do produkcji baterii, nie nastąpi z kolei „głód krzemowy”. Tu przyroda nie poskąpiła surowca. Ponad 90 proc. skorupy ziemskiej stanowią związki krzemu. Dwutlenek krzemu, kwarc, jest bardzo pospolitym minerałem.

Oczywiście, do tak ogromnego rozwoju helioenergetyki, jest jeszcze daleko. Na pewno trzeba będzie po drodze pokonać masę trudności technicznych. Nie jest wykluczone, że drogi krzem o wysokiej czystości zostanie zastąpiony polimerami.

Trudno przewidzieć, w jakim stopniu przedstawiony tu obraz, zostanie zrealizowany. Jedno jest pewne: ludzkości nie grozi widmo głodu energetycznego.



POLITYCZNE LATO

Komunikat o Plenum KC PZPR poświęcone przygotowaniom do V Zjazdu Partii zapowiada nowy, gorący okres politycznego lata w naszym życiu. Plenum to wytyczy bowiem kierunki dyskusji przedzjazdowej. Tezy na V Zjazd, podane pod powszechną dyskusję przez Plenum KC, staną się zarazem podstawą do szerszych rozważań ideologicznych, dalszego określenia naszej drogi wytyczonej w polskim Państwie.

Na ten temat rozważania snuje w „Życiu Literackim” W. M. w swym felietonie „Z mojego obserwatorium” pt.: „Zbliżamy się do ogólnonarodowej dyskusji”.

„Nie jesteśmy wyizolowani z ogólnej dyskusji w obozie socjalistycznym — o socjalizmie. Słyszmy o szaleńcym tempie i dramatycznym charakterze niektórych dyskusji, choćby za miedzą. W naszych dyskusjach będziemy zawsze szermierzami niezależności, jak byliśmy w październiku walcząc o socjalizm, antyrewizjonizm Jego kształt. Tego typu niezależność październikowa winna znajdować kontynuację, wszak nie wszędzie ziarna Października zdolały wyrósć do końca i zakwitnąć. Nie ugięliśmy się przed twierdze-

niami, że renesans marksizmu bierze dech i czar z rewizjonizmu, i że kapitalistycznymi metodami pomożemy sobie w szybszym i lepszym budowaniu socjalizmu, nie pochwalamy i dziś tych złudzeń i wypaczeń u nikogo, ale także nie mówimy, że demokracja socjalistyczna zagraża dyktaturze proletariatu lub że każda reforma i myśl na ten temat musi być rewizjonizmem. Zagadnienie rewizjonizmu winno zejść z pola rutynarskiego teoretyzowania do praktycznych rozważań o formach jego praktycznego przemysłu w ekonomii, nauce, kulturze (...)

W ideologii toczy się walka przeciw nie o ideologię jako pojęcie abstrakcyjne, gadanie tylko i opisywanie — w rzeczywistości w ideologii toczy się zawsze walka o kierownictwo. A jeszcze ściślej: o takie, a nie inne kierowanie dalszym budowaniem socjalizmu. Kierowanie musi się opierać o jak najżywsze kontakty z ludem pracującym. Dlatego i dyskusje przedzjazdowe winny się maksymalnie oprzeć o głosy ludu na czele z aktywnym terenowym, z maksymalnym pominięciem biurokratycznych przeszkód i bojaźni. Politykierski rewizjonizm nie czepia się ludzi prostych i uczelnych (...). Nie można wyjątkowo marksizmu z ideowych treści, ale nie można także odpraktycznie — to tak jak byśmy wymawiali żołądki wczorajsze przyjemności. Nie należy robić bożyszcza z pożytku, ale i nie można dopuścić do rozbiegu słów z czynami. Wszelkstronna gospodarka i krytyczna dyskusja będzie potwierdzeniem przekonania, że w naszym ustroju nie potrzeba opozycji”.

Przykładem temperatury zaangażowania w problematykę zjazdowej naszego społeczeństwa jest raport A. K. Wróblewskiego w „Polityce” pt.: „Inicjatywa nieuprzedmiotowiona”. Mowa tam m. in. o zobowiązaniach załóg.

WSTRZĄSAJĄCY DOKUMENT

„Kultura” zamieszcza wstrząsający w swej wymowie i treści swoisty dokument najnowszej hi-

storii Polaków z lat okupacji. Mowa o wspomnieniach Alojzego Twardckiego vel Alfreda Binderbergera, który jako kilkuletnie dziecko — polskiego oficera — został wywieziony do Rzeszy i tam zgermanizowany, po czym adoptowany został przez niemiecką rodzinę. Po wojnie odnaleziony przez matkę, ten 16-letni wówczas chłopak dokonuje trudnego wyboru powrotu do ojczyzny, której nie znał i którą niegdyś — nienawidził jako „Niemiec”. Wspomnienia, którym nadał literacką formę „Listów do niemieckiego przyjaciela”, noszą tytuł „Szkoła janczarów”. Nie sposób streścić te listy, trzeba je koniecznie przeczytać.

Kierujemy uwagę czytelników także na pokrewny, szeroko uargumentowany artykuł w „Tygodniku Kulturowym”, w którym Józef Fajkowski pisze o „Złodziejach polskich dzieci”.

PO ROKU — BEZ ZMIAN

Również w „Kulturze” zamieszczono artykuł Andrzeja Żeromskiego pt. „Po roku”, w którym autor dokonuje oceny aktualnej sytuacji na Bliskim Wschodzie i celu ciągłych izraelskich prowokacji, zwłaszcza wobec Jordani. Chodzi o starą koncepcję stworzenia na terenach podbitych zależnego państwa:

„Pytanie, co dalej, jest więc równie aktualne jak przed rokiem. Z tym jednak, że wydaje się, iż coraz częściej jest ono zadawane w Izraelu. Wbrew bowiem przewidywaniom i nadziejom izraelskim kraje arabskie nie skapitulowały i nie skapituja. Pomoc Związku Radzieckiego i innych krajów obozu socjalistycznego, a z drugiej strony naftowych państw arabskich pozwala nie tylko, pomimo na

pewno niełatwej sytuacji, przetrwać Egiptowi i Syrii, a także Jordani, trudny okres, lecz również odbudować swój potencjał militarny. Syjonistyczne marzenia o „Wielkim Izraelu” załamują się w zetknięciu z niewątpliwą wolą walki krajów arabskich o swoje słuszne prawa i, co jest bardzo istotne, o własną niemożność”.

Autor podkreśla, że polityka Izraela stwarza nieustanne niebezpieczeństwo wybuchu nowej wojny na Bliskim Wschodzie mimo konstruktywnych propozycji egipskich — realizacji rezolucji ONZ. Patrząc z perspektywy roku, trudno się więc zdobyć na optymizm.

PROPONUJEMY

Ponadto proponujemy sięgnąć po inne periodyki. W „Tygodniku Demokratycznym” prof. dr Zofia Kietlińska pisze o wychowaniu w szkole wyższej; w „Walcie Młodych” Lech Borski pisze o młodzieży nieuczającej się i niepracującej i wprowadzonym obecnie obowiązku nauki w artykule pt. „Zabieg na... wyrostku”. Józef Pajestka w „Polityce” w artykule: „Po co wracać do jaskini?” prowadzi polemikę z „Kierunkami” na temat wzorców cywilizacyjnych i społeczno-kulturowych; w „ItD” Krzysztof M. Gawlikowski omawia problem patriotyzmu w artykule: „Bitwa naszego pokolenia”; „Życie Gospodarcze” w cyklu „Uwaga człowiek!” zamieszcza artykuł dyr. dep. Min. Finansów Czesława Kończala o wydatkach na cele socjalne i kulturalne. Wracamy też uwagę na artykuł w „Walcie Młodych” prof. dr. Henryka Jabłońskiego: „Skąd nasza demokracja?”. Sporo więc tej lektury na upalną niedzielę.

LEKTOR